

— Bob Murphy, sir — odpowiedział stróż.
 — Pochodzicie z Irlandyi?
 — Urodziłem się w Dublinie, kapitanie.
 — Lat?
 — Trzydzieści jeden, sir.
 — Dobrze, mister Murphy. Opowiedzcie nam krótko i węzłowato, co się wam dzisiaj przydarzyło.

— Chciałbym, sir, ale nie wiem czy potrafię, bo przed kwadrans jeszcze byłem przekonany, że zwaryowałem. W jaki sposób oni się tu dostali, tego nie wiem...

— Kto? — zapytał ostro policysta.

— No — złodzieje.

— Ilu ich było?

— Dwóch.

— Aha, a więc trzech — mrucał kapitan, zapisując coś skrzątnie do notesu. — No, jedźcie dalej, a streszczajcie się.

— Well, więc, jak przyszli, tego nie wiem — dyabli to mogą wiedzieć, ale wyszli stąd, jak mi się zdaje, przez okno, chociaż nie wiem, w jaki sposób by to mogli zrobić. Znajdowałem się właśnie na dziedzińcu, była może godzina pierwsza, albo może później, gdy nagle usłyszałem jakiś podejrzany szmer. Z początku sądziłem, że pochodzi on ze schodów. Pobiegłem tam, z rewolwerem w dłoni, ale nie znalazłem nic. Wszędzie było pusto i spokojnie. Wogóle nastała cisza. Byłem więc przekonany, że to tylko optyczne złudzenie, albo coś podobnego i powróciłem do łóża portyera, gdzie się zwykle w przejściu zatrzymuję.

— Hm, a nie przyszło wam do głowy, że ten szmer może pochodzić z innej części domu — wtrącił policysta.

— Tak, sir, myślałem tak rzeczywiście. Ale potem zdawało mi się, że to może był kot domowy, który czasem dostaje ataku i wędruje po schodach, polując na myszy.

— Tak, kot. Sądzę więc, że uważaliście ten szmer po prostu za złudzenie.

Bob Murphy patrzył przez chwilę jak głupi na policyanta. Uważał to za nierozumne przypuszczenie, żeby urzędnik szukał w jego zeznaniu sprzeczności.

— Co ja mówię, to prawda, święta jak biblia, sir — odparł urażony — w pierwszej chwili uważałem ten stuk za złudzenie.

— Więc to był stuk? — dobrze, mówcie dalej.

— O kasie dusza moja nie pomyślała, stamtąd poprostu stuk ten pochodzić nie mógł. Wszystkie szafy są opatrzone dzwonkami elektrycznymi, sama wielka kasa ma ich pięć, a nawet najłżejsze poruszenie jakiegokolwiek przedmiotu na ścianie powoduje w całym domu prawdziwy potop dzwonienia, coś podobnego, jak kiedy wodę wpuszczają do doków. A więc o kasie, o tym właśnie pokoju, nie myślałem, nie mogłem nawet myśleć.

— Możecie mieć rację — wtrącił kapitan — ale przystapcie do rzeczy i streszczajcie się.

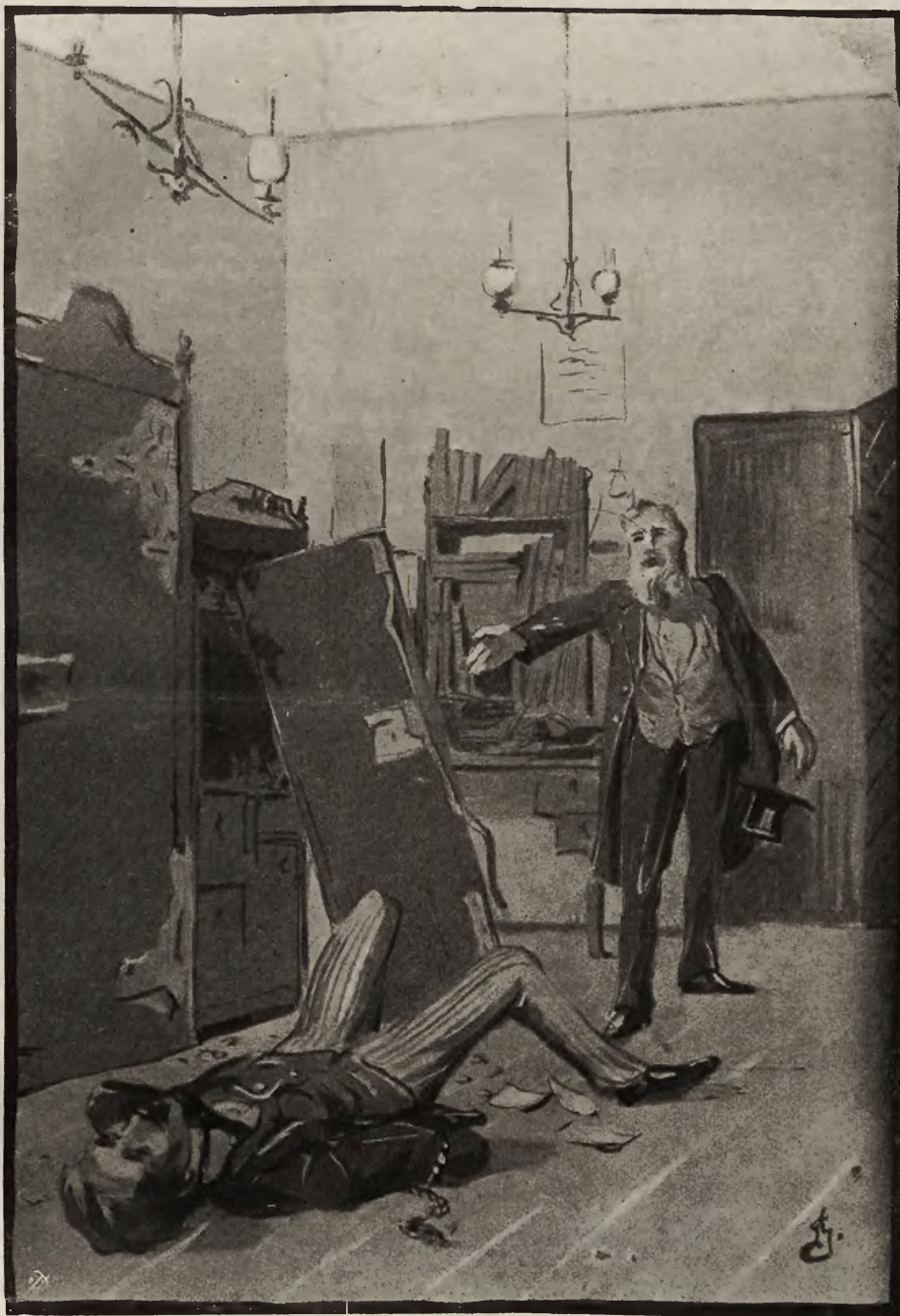
— Ja już prawie kończę, sir; to, co teraz nastąpiło, da się opowiedzieć w kilku słowach. Zaledwie tedy wszedłem do łóża portyera, kiedy doleciał mnie znowu szmer, który, jak teraz przypuszczałem, pochodził rzeczywiście z pokoju kasowego. Jak więc można najciszej i najprędzej, pobiegłem przez główne biura, aby stamtąd zaglądnąć do kasy. I tak uczyniłem, ale nie zobaczyłem nic, jak mi Bóg miły, nic, chociaż szmer trwał dalej. Cóż miałem zrobić? Well, przeżegnałem się krzyżem świętym, westchnąłem: Jezus, Marya, Józef, i trzymając przed sobą, o tak, widzi pan kapitan? — rewolwer w ręce, przestąpiłem próg tego pokoju. W tej chwili spostrzegłem dwóch ludzi, jednego wysokiego, drugiego niskiego — tego ostatniego z całym pękiem najrozmaitszych instrumentów i z latarnią, która stała obok niego na ziemi, drugiego z długim, paskudnym sztyletem, którym się odrazu na mnie zamierzył. „Be uit, you da net fool — wołał on — zachowaj się spokojnie, przeklęty durniu, bo w przeciwnym razie ten sztylet w pierś ci wpakuje!“ Coś takiego krzyczał, kiedy się w drzwiach tego pokoju ukazał, ale w tej chwili pociągnął już cyngiel..

Kapitan machnął ręką w ten sposób, jak żeby chciał tym ruchem przeciąć mowę stróża, który umilkł natychmiast.

— Jakto? więc strzelaliście do niego? — zapytał niedowierzająco.

— *Jou bet, i have* — odrzekł Murphy, dumnie podnosząc głowę. — Możesz się pan założyć, że strzelałem, ale go nie trafiłem. Kula musi tu gdzieś tkwić w ścianie. I to było wszystko, co mogłem zrobić, bo w tejże chwili ten piekielnik porwał mnie za piersi, jak kawałek bydła rzucał na ziemię i począł to moje biedne ciało okładać pię-

ściami, używając i nóg do pomocy. Jak długo mnie tak obrabiał, nie wiem, sądzę, że musiał zemdleć. Bo kiedy na nowo otworzyłem oczy, leżałem na grzbiecie ze skrępowanymi pod sobą rękoma, mając w gębie grube sukno, tak, że nie mogłem krzyczeć. Oba draby pracowali koło tej wielkiej kasy; jeden trzymał latarnię, a drugi, jak mi się zdaje, wiercił świderek żelazo. Trwało to dobre dziesięć minut. Potem odsunęli się obaj od kasy, śmiejąc się, kazali mi wyteżyć uszy, mówiąc, że wkrótce nastąpi kapitalna uczta dla moich bębneków i zapalili jakąś nić — lont, czy jak to tam nazywają takie rzeczy — którą dopiero teraz spostrzegłem. Ten gałgan tlił się przez chwilę, potem nastąpił grzmot, że zdawało mi się, iż cały gmach rozleci się na drobne kawałki. Drżąc z trwogi, zamknąłem oczy i oczekiwałem śmierci, bo, niech to dyabli wezmą, byłem pewny, że mnie te draby nie pozostawią żywym. Nie zrobili czegoś podobnego — ale też nie wiem wogóle, co potem zrobili.



...i tylko poruszanie się piersi zdradzało, że jeszcze żywie, że jeszcze nie umarł.

bo, możecie mi to wziąć za złe lub nie, oczy miałem już zamknięte i nie chciałem nic ani widzieć, ani słyszeć. Później musiałem usnąć, a może mnie też szubrawcy w jakiś sposób ogłuszyli, dość, że kiedy się obudziłem, był już jasny dzień, a przedemną stał mister Zygmunt; to wszystko. A teraz panowie, dajcie mi się napić coś ciepłego, bo jestem ogromnie osłabiony i pozwólcie mi się przejść odrobinkę po pokoju, bo moje członki są jeszcze sztywne i zimne. Sądzę też, a przynajmniej mi się tak zdaje, że w mojej maszynie jadalnej nie wszystko jest w porządku, przynajmniej jest w niej tak sucho, jakgdybym nigdy podniebienia mego nie zwilżał.

Stróż umilkł, otrząsnął się z zimna, mlasnął parę razy wyschniętym językiem i począł sobie rozcierać ręce. Wogóle przedstawiał obraz nędzy. Urzędnik policyjny milcząc patrzył w ziemię, potem wzruszył ramionami i zwrócił się do mister Zygmunta.

— No, panie, jakież rezultat?

— Szczególny, ogromnie ciekawy rezultat — odpowiedział zapytany, a w twarzy jego widać

było najwyższe zdumienie. — Brakuje tylko jednej rzeczy: teczki z gotówką w papierach, zawierającej dwa miliony dolarów. Ale wszystko inne jest nienaruszone, nawet kasety z złotem nietknięte, tutaj woreczek ze srebrną monetą, nie brak nic, prócz teczki z dwoma milionami. Odchodzę od zmysłów, nie wiem, co mam z tego sądzić; co pan na to, kapitanie, czy się panu kiedy coś podobnego zdarzyło?

Kapitan nie odrzekł nic. Nic też nie można było wyczytać z jego twarzy. Oglądał się tylko za sierżantem, poczem poczem skinął na szefa banku.

— Słówek, mister Vanderhook! Co pan sądzi o tym człowieku? — zapytał, wskazując na Boba Murphy.

— Nic złego — odrzekł stary pan stanowczo. — Służy on u mnie już trzeci rok i jest wzorem wierności i posłuszeństwa. W pierwszych miesiącach niejednokrotnie brałem go na spytki, ale on tego nigdy nie zauważył. O, ja go znam, znam jego wierność, jego stosunki, on jest *all right*, biedny chłopak.

— Ma pan rację — odpowiedział urzędnik — nie można go podejrzawać. Niech on tu jednakże jeszcze zostanie, muszę go jeszcze raz przesłuchać. Zechce się pan, mister — ach, zapomniałem go — dności — prawda, mister Zygmunt, dziękuję, czy nie zechciałbyś się zająć, aby temu człowiekowi podano szklanek ciepłego napoju? Potrzebuje tego. A teraz, przepraszam panów, musimy obaj z moim kolegą zabrać się do rzeczy.

Z temi słowy zwrócili się obaj urzędnicy do wielkiego, opatrzonego grubymi żelaznymi okiennicami okna. Na pozór okno to było nietknięte. Kiedy jednak sierżant począł badać ścianę, zauważył, że na rogu okna poruszyła się tapeta. Podniósł ją więc, opukał kamieniem w murze i powrócił z rozpromienioną twarzą. Dwie warstwy kamieni, szerokości może czterech rąk, były ustawione wolno jeden na drugim, tak, że złodzieje, wyjawszy je, mogli wywiercić głęboką dziurę, przez którą wygodnie mógł się jeden człowiek przecisnąć. Krytycznej nocy złodzieje wyjęli poprostu kamienie, przedarli tapetę i przejście było gotowe.

Obaj urzędnicy patrzeli na siebie, porozumiewając się oczyma.

— Otóż jest nitka

Aryadny — szepnął detektyw.

— Ba, ale dokąd ona nas zaprowadzi? — odparł kapitan również przyciszonym głosem.

— Tak, tak — ozwał się nagle detektyw — jedno jest pewnem, że nie zrobiono tego w ciągu jednej nocy. To niemożliwe. Nad tem musiano długo i starannie pracować.

Teraz zwrócili się obaj urzędnicy do tak zwanej „wielkiej kasy bezpieczeństwa“, która przedstawiała politowania godny widok. Idące od niej we wszystkich kierunkach druty elektryczne były poprzerywane i zwieszały się ze ścian, drzewi były szeroko otwarte, silne, stalowe zamki były zgniecione i połamane w kawałki, jakgdyby je jakaś olbrzymia ręka potężnym ciosem zmiażdżyła; posadzka cała zasłana była kamieniami i odłamkami żelaza. Wśród tego śmietnika kamieni, żelaza, piasku i wapna leżał zwinięty w rulon szmat sukna, popalona resztką z niebieskiej koszuli wełnianej.

(Ciąg dalszy nastąpi).